POZOSTANIE NIE TYLKO W PAMIĘCI

Historia Warmii i Mazur w świetle materiałów pamiętnikarskich, relacji oraz wspomnień

Wystawa stanowi przykład przełożenia jednostkowych dziejów ludzkich, historii osobistych, zawartych w relacjach, wspomnieniach, pamiętnikach, na uniwersalny obraz historii naszego regionu w konkretnych, przełomowych momentach dziejowych. Wyznaczają je: II wojna światowa, czas bezpośrednio powojenny (lata 1945–1949) oraz okres „dojrzałego" PRL (lata 60. i 70. XX w.) – etap modernizacji tych ziem przeprowadzanej już polskimi rękami. Mamy tu do czynienia z historią społeczną Polaków i Mazurów, obejmującą zarówno momenty dramatyczne w ich życiu, jak i okresy względnie spokojnej pracy i egzystencji.

Materiał źródłowy wykorzystany na wystawie stanowią: materiały opublikowane w zbiorze *Relacje słuchaczy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach Pasymskich* (wstęp i opr. Konrad Bączek, Ryszard Tomkiewicz, Olsztyn 2021) oraz w pracy *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich* (wybór i opr. Bohdan Koziełło-Poklewski, Bohdan Łukaszewicz, wstęp: B. Koziełło-Poklewski, Olsztyn 1977). Pozostała część materiału źródłowego publikowana była wcześniej wyłącznie w krótkich fragmentach, a stanowią ją zebrane w 1976 roku jako pokłosie otwartego konkursu relacje pracowników Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych.

Zdajemy sobie sprawę z wycinkowego charakteru ekspozycji, niemniej jednak w palecie poruszanych na niej tematów znalazły się te najważniejsze: traumatyczne przeżycia wojenne, bolesny proces adaptacji ludności mazurskiej do nowej rzeczywistości państwowej i politycznej czy wreszcie *de facto* pionierski wymiar fundowania wielkiego przemysłu na surowym korzeniu ziemi warmińsko-mazurskiej. Tak sformułowany zestaw problemowy stanowić może wstęp do dalszej analizy bogatego materiału wspomnieniowego powstałego w związku z naszym regionem.

AUTOR: ARTUR SOBIELA

KONCEPCJA GRAFICZNA: IGA CZARNIAWSKA

Ministerstwo Nauki i Szkolnictwa Wyższego

INSTYTUT PÓŁNOCNY IM. WOJCIECHA KĘTRZYŃSKIEGO

Społeczna Odpowiedzialność Nauki

ROBOTNICY PRZYMUSOWI W PRUSACH WSCHODNICH

Jednym z najbardziej dramatycznych doświadczeń Polaków okresu okupacyjnego była praca przymusowa wykonywana często w warunkach *de facto* niewolniczych. Kierowano do niej zrazu jeńców wojennych i cywilnych z wojny obronnej 1939 roku, później zaś mieszkańców terenów okupowanych, w tym obszarów wcielonych do Rzeszy. Pracowali oni najpierw w gospodarstwach rolnych, a następnie również przy nasilających się, zwłaszcza od 1944 roku, jeszcze cięższych i bardziej niebezpiecznych świadczeniach dla wojska: kopaniu okopów, czy też odgruzowywaniu bombardowanych miast. Polskich robotników przymusowych rekrutowano z terenów zajętych przez Niemców w 1939 roku, a przede wszystkim z obszarów wcielonych do Rzeszy, również do Prus Wschodnich. Znalazło się ich tu blisko 200 tysięcy. Zebrane w lipcu 1974 roku relacje robotników przymusowych weszły w skład zbioru zatytułowanego *Ze znakiem «P» Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich*, wydanego w 1977 roku przez Ośrodek Badań Naukowych im. Wojciecha Kętrzyńskiego w Olsztynie. Wyłania się z nich wstrząsający obraz pracy i życia polskich robotników przymusowych w tym peryferyjnym rejonie państwa niemieckiego.

Pierwszy szok stanowił dla tych zazwyczaj bardzo młodych ludzi – chłopców i dziewcząt – fakt, że zostawali oni wystawieni na publiczną sprzedaż. Gospodarze na tych XX-wiecznych targach niewolników, odbywających się w miastach i miasteczkach Warmii i Mazur, wybierali sobie pracowników, kierując się kryteriami niczym przy wyborze żywego inwentarza gospodarskiego. Młodych ludzi dziwił fakt niemal powszechnej znajomości języka polskiego wśród autochtonów. Następnie czekało ich oznakowanie oraz poddanie rozległemu systemowi nakazów i zakazów. „Wyróżnieni" byli za pomocą przyszytego na prawym boku ubrania, ustawionego na jednym z rogów kwadratu o bokach 5 cm z fioletową obwódką, wewnątrz którego znajdowała się umieszczona na żółtym tle również fioletowa litera „P". Zakazy obejmowały zaś niemal wszystkie sfery życia, ograniczając m.in. przemieszczanie się, uczestnictwo w życiu społecznym, czy zalecając ścisłą separację robotników przymusowych od ludności niemieckiej.

Jedynym prawem Polaków w Prusach Wschodnich pozostawało więc „prawo" do pracy. Wszystko przebiegało wedle monotonnego schematu codziennej harówki ponad siły i tylko od ślepego losu zależało, czy warunki życia będą mniej lub bardziej ludzkie.

Najbardziej dojmującym doświadczeniem okazała się jednak praca wykonywana dla wojska w obliczu nadciągającego frontu izbliżającej się Armii Czerwonej. Czynności takie jak kopanie okopów w reżimie nieludzkich norm dziennych, budowa bunkrów, robota w zmilitaryzowanych warsztatach, praca w warunkach zimowych bez odpowiedniego zabezpieczenia w połączeniu z głodem i fatalnymi warunkami powodowały, że właściwie wyłącznie wola życia oraz przypadkowe okoliczności sprawiały, że wycieńczeni ludzie zdołali przeżyć i doczekać początku 1945 roku.

JAK ZWIERZĘTA

Trzeci dzień jazdy. (...) W śnie czuję, że się zatrzymujemy. (...) Przez szybę czytam: Mohrungen (Morąg). Niemiec prowadzi nas do Arbeitsamtu. Przed gmachem ustawiają nas w dwuszeregu. Jesteśmy wystawieni na sprzedaż, niby zwierzęta. Są i kupcy, głównie bauerzy.

Janusz Bieniewski (s. 15)

Antoni Krasnodębski (1942)

W Arbeitsamcie zostaliśmy dokładnie opisani, po czym ustawiono nas na placu urzędu zatrudnienia w pojedynczy rząd i wtedy na plac weszła cała grupa cywilów zarówno mężczyzn, jak i kobiet. Zaczęli chodzić między nami i wybierać, jak kupcy na targu.

W czasie tej transakcji wypytywano nas:

– Cy umnis pracować na roli, cy bedzies umiał paść krowy, doić krowy?... itd. – Zdziwienie wśród nas wywoływało to, że większość tych ludzi rozmawiała po polsku.

Zygmunt Chełstowski (s. 30)

Co było najtragiczniejsze dla mnie? To właśnie ten targ na ludzi. (...) To było dla mnie może najcięższe do przeżycia przez całą okupację. Przychodzi taki Niemiec i lachę weźmie, każe usta otworzyć, ręce pokazać, nie wiem po co. Tam się działy dantejskie sceny. Rozrywanie rodzin, matkę bierze jeden gospodarz, córkę zabierał inny. Rozpacz tej matki – to mnie spotkało po raz pierwszy. Później widziałam gorsze sceny, jak Żydów zabijali. To było targowisko białych niewolników. Do mnie przychodzili wszyscy, ponieważ miałam ręce gładkie, co pokazałam ręce, to mówili:

– Ty nie jesteś do roboty dziewcoku – wielu mówiło po polsku.

Siedzę i płaczę. Nie mogłam tego znieść.

W końcu przychodzi do mnie jeden mężczyzna, który nie mówił w ogóle po polsku, i przychodzi z tym z Arbeitsamtu. Plewa się nazywał, pamiętam, bo plewę od ziarna można odróżnić.

Wacława Dobrzyńska (s. 51)

(...) Zapłacił za mnie chyba 9 marek z groszami, (...) i na piechotkę szliśmy do Dywit.

– Jeśli pan nie da mi nic jeść, to ja nie dojdę. – Dał mi kromkę chleba. I przywlokłem się z nim.

Antoni Krasnodębski (s. 82)

Źródło: *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich* (wybór I opr. B. Kozieło-Poklewski, B. Łukaszewicz, wstęp: B. Kozieło-Poklewski, Olsztyn 1977)

PRACA W GOSPODARSTWIE

Obawiano się okazać życzliwość. Ona nieraz mówiła, że gdyby nam pozwoliła na to, czy tamto, byłaby ukarana.
– Nie wolno nam, trzeba was krótko trzymać, takie jest polecenie.

Ignacy Formiński (s. 57)

Gospodyni wypytywała mnie o wszystko: ile mam lat, (...), czy długo musiałem się starać, żeby tu do nich przyjechać na roboty. Kiedy powiedziałem, że mnie żandarmi zabrali przymusowo, nie chciała w to wierzyć. Twierdziła, że przyjeżdżamy dobrowolnie, bo w Polsce bieda i nie ma co robić, a gdy tylko ktoś dorasta i nadaje się do pracy, to usilnie stara się o wyjazd do Niemiec.

Zygmunt Chełstowski (s. 31)

Z rozkazu Führera – (...) – musicie stale i dobrze pracować dla Niemców. (...) Każde lekceważenie pracy i nienależyte jej wykonywanie będzie karane śmiercią. Nie wolno wam – (...) – mieć nic wspólnego z niemieckimi kobietami. Za to wieszamy. Nie wolno wam nie wykonywać niemieckich rozkazów. Nie wolno wam podnosić ręki na Niemców, nie wolno wam... Nie wolno wam...

(...) O godzinie 13 gong oznajmił przerwę obiadową. (...) W miskach na stole stały ziemniaki w obierkach. W wazach – zupa mlekiem zabielana, na jej wierzchu pływały plewy. (...) Była to kasza jęczmienna. Jedliśmy i pluliśmy. Ziemniaków nikt nie jadł. Takich ziemniaków dotąd nigdy nie jadłem. Przypominam, iż mama w taki sposób je świniom gotowała. Ogarniała wściekłość.

Janusz Bieniewski (s. 17)

Jedliśmy w zasadzie to samo co i gospodarze, ale nie mogliśmy jeść z nimi w jednym pomieszczeniu. Po śniadaniu gospodyni zapytała mnie czy nie było zimno spać na strychu. Śmiało odpowiedziałem, że tak, było zimno. Ale gospodarz wyjaśnił, że nie ma innego miejsca, a w kuchni nie mogę spać, bo zabronione jest spanie pod jednym dachem.

Zygmunt Chełstowski (s. 32)

Źródło: *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich* (wybór I opr. B. Kozieło-Poklewski, B. Łukaszewicz, wstęp: B. Kozieło-Poklewski, Olsztyn 1977)

Warunki były bardzo złe. Mebli nie było, pościel mieliśmy swoją z domu zabraną, nic nam nie dali. Dał nam prowizoryczne szafki, parę łóżek, takie jak po celach więziennych. I żyliśmy tak przez trzy lata do 1945 roku. Pokój był jeden maleńki, szczury, myszy, wilgoć. Wyżywienie było słabe. Chleb to był, nie wiem czy dziś coś tak lubię. On nam dawał deputat rodzinny, skromnie tłuszczów. 0,5 kg mięsa na tydzień na rodzinę, mąkę, dwie paczki margaryny i to prawie wszystko. Mleka dostawaliśmy 2 l na 5 osób. To było tyle, żeby można było przeżyć. Praca ciężka, dokuczliwa, bo Niemiec stał z pałą. Od szóstej do szóstej pracowaliśmy, w tym godzinę obiadu. Niedziela była wolna. Świąt Niemcy mało mieli. Otrzymywaliśmy śmieszne wynagrodzenie, ale i tak za to nic nie było można kupić.
We wsi była karczma niemiecka, tam była taka Niemka, że czasem i zapałek nie sprzedała Polakowi. (...) Trzeba było kraść od koni, żeby samemu się żywić. Organizowaliśmy życie w różny sposób. Ja mieszkałem u gospodarza np. na wsi, to miałem możliwości zorganizować jaj, kogutka się złapało i za to kombinowało się w Giżycku ubranie. A w mieście łatwiej było ciuch kupić. W sklepie Polak nie mógł kupić żadnego ubrania.
(...) Nie żałował bicia i gospodarz. Miałem 4 konie, w które pracowałem. Jedna klacz była leniwa i nieraz ją musztrowałem po swojemu, żeby dobrze chodziła. Jak mnie na tym złapał Niemiec, myślałem, że mnie zastrzeli. U niego konia nie było wolno uderzyć. Zbił mnie wtenczas jak piorun.

(...) Raz w miesiącu były nabożeństwa dla Polaków.

Leon Bednarczyk (s. 12–13)

Pracować musiałem tak samo jak dorośli, a byłem najmłodszy. Gdzieś po upływie trzech miesięcy nie wytrzymałem i postanowiłem uciec. (...) Zostałem pod Szczytnem schwytany przez grupę Hitlerjugend. Doprowadzono mnie do Arbeitsamtu w Biskupcu, tam zostałem bardzo ciężko pobity. Musiałem leczyć się dłuższy czas i z powrotem przypędzono do tego samego gospodarza. I znowu praca od 4 rano do 12 w nocy. Trudno było wytrzymać.

Władysław Kaszuba (s. 75)

Ja z kolegą popadłem do jednego gospodarza. Nazywał się Józef Berent. Rodzina Warmiaków. Dziadek tego Berenta nawet nie umiał po niemiecku, a pacierz i różaniec to oni wszyscy mówili po polsku i nas prosili do wspólnej modlitwy. Spanie dostałem co prawda na strychu, ale pod pierzyną. Zimową porą zaś spałem w kuchni. (...) To byli przyzwoici ludzie. Oni czuli się Polakami.

Marian Kuźnia (s. 84)

Ja trafiłem pod Insterburg (Wystruć) do bauera, ale tam byłem chyba trzy dni i uciekliśmy we dwóch. Tam było niemożliwie do wytrzymania. W chlewie świńskim kazał nam spać.

Bolesław Lenkiewicz (s. 86)

Trochę legalnie, trochę człowiek dokradł, aby żyć dalej.

Wacław Jastrzębowski (s. 72)

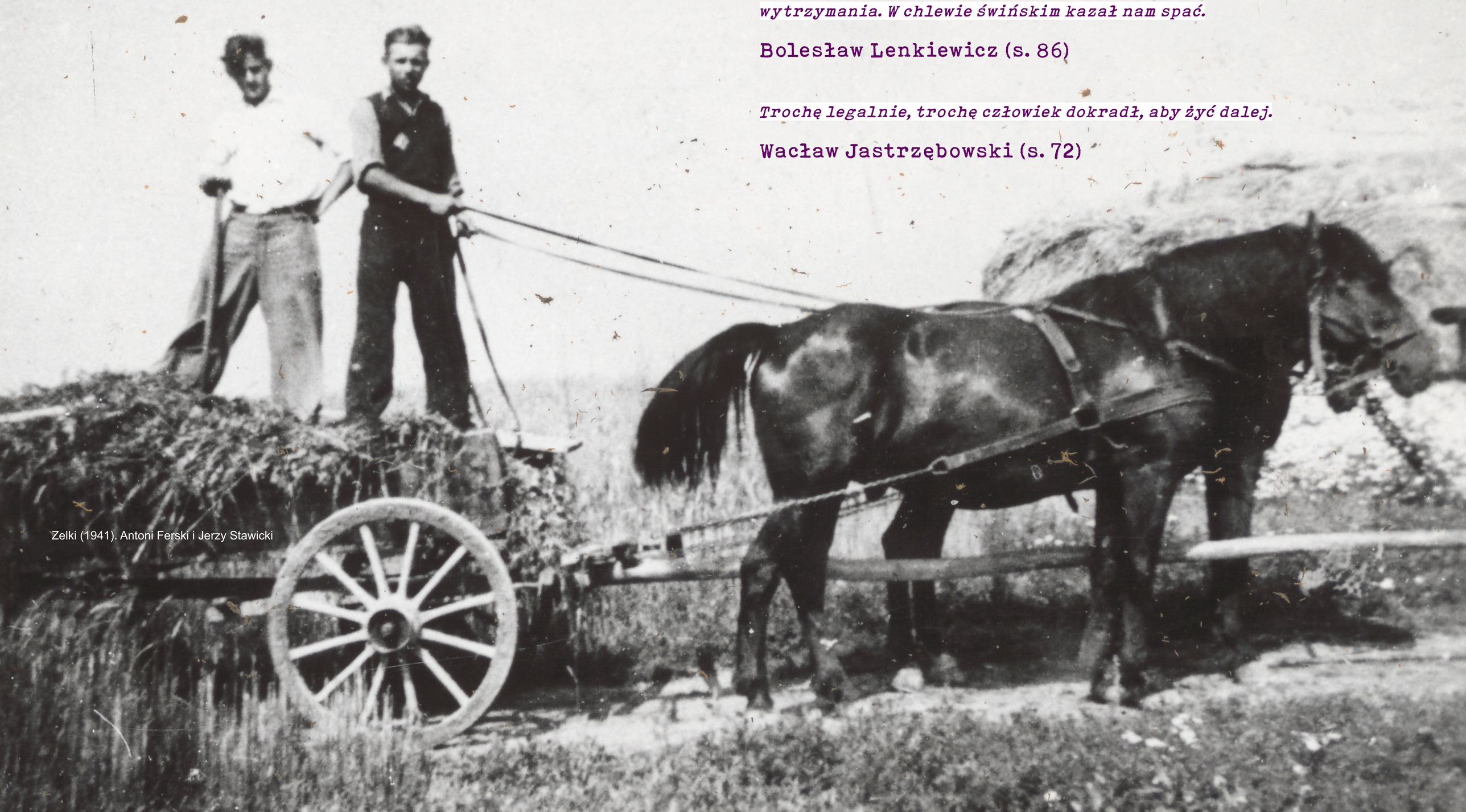

Zelki (1941). Antoni Ferski i Jerzy Stawicki

PRACA W GOSPODARSTWIE

Byliśmy oznakowani literą „P". Żółta była ta szmatka kwadratowa z fioletową obwódką i w środku było „P" fioletowe. Trzeba było przyszyć do ubrania na widoczne miejsce na prawym boku.

Wacław Jastrzębowski (s. 72)

Któregoś dnia przypadło mi ważyć i nosić węgiel. Liza trzymała worek, a ja nakładałem węgiel. Gdy w worku było 50 kilogramów Liza pomagała zarzucić mi worek na plecy, a ja przenosiłem do pobliskiej szopy i tam go wysypywałem. Tak trwało przez kilka godzin. W pewnym momencie zauważyłem, że z bliskiej odległości przypatruje mi się Gabryel. Widocznie moja robota mu się nie spodobała, bo podszedł i kazał nasypać do worka 75 kilogramów węgla. Gdy tę ilość odważyłem, polecił bez pomocy Lizy zarzucić sobie worek na plecy. Zarzuciłem go, ale z nim upadłem. Niemiec histerycznie śmiał się.

Janusz Bieniewski (s. 20)

Po zakończeniu pielenia buraków, gospodarze przystąpili do kopania na okolicznych mokradłach torfu na opał. Praca przy kopaniu torfu była bardzo ciężka i niezdrowa, stąd też roboty te wykonywali robotnicy przymusowi. Kopaliśmy torf stojąc całymi godzinami w wodzie powyżej kolan. Wielu z ludzi kopiących torf, szczególnie Francuzi, pochorowało się. Ale to gospodarzy nie interesowało.

Zygmunt Chełstowski (s. 36)

Pamiętam kiedyś zachorowałem. Leżałem na tym swoim wyrku, a żona bauera mówi:
– Trzeba mu nic nie dać do jedzenia, to prędzej wyzdrowieje.

Antoni Krasnodębski (s. 83)

W tym czasie w Prusach wśród ludności wiejskiej stało się bardzo modne mieć służącą i służącego, pomimo że im w zasadzie nie byli potrzebni. Gospodarze posiadający bryczki konne przy lada okazji kazali zaprzęgać konie, sami rozsiadali się na tylnym siedzeniu, a polski parobek powoził i wiózł „jaśnie pana dziedzica" gdzie ten mu kazał. Zaczęli prowadzić życie jakie dla nadludzi obiecywał ich Führer po zakończonej wojnie. Cóż, mogli sobie pozwolić na luksus posiadania służących, bo myśmy pracowali za więcej niż skromne wyżywienie, a zapotrzebowanie na ludzi hitlerowcy im skwapliwie realizowali w Polsce.

Zygmunt Chełstowski (s. 36)

Arbeitskarte
für
ausländische Arbeitskräfte
und
Bescheinigung
über eingezahlte Lohnersparnisse
Landrat
Lützen
95/42
Umschlagblatt zur Arbeitsk te
1723/20
A/0115
Ausl. 50
Din A 4 gefalzt

Pierwsza strona Arbeitskarte Heleny Pawłowskiej

Minął rok 1942, doczekałem się lata 1943 roku. Mimo że przepracowałem półtora roku, nie otrzymałem urlopu na odwiedzenie rodziny. Poza wspomnianym „Mazurem", nie widziałem polskiej gazety ani książki. Jedyne źródło informacji, to wiadomości przywożone wraz z nowo przybywającymi na roboty przymusowe rodakami.

Zygmunt Chełstowski (s. 37)

Przed odejściem leśniczy powiedział, że będziemy zawsze pracować dla Niemców.

Janusz Bieniewski (s. 24)

Wywieźli mnie później za Korsze, do Tołkin (Tolksdorf). Wywieźli nas 37 z obozu w Olsztynku. Majątek miał 12 tysięcy morgów, (...). Tam była niezliczona masa ludzi, nawieziono cywilów przeszło 100. (...) Wachmani tamci to prawdziwe katy. Miałem wąsy zapuszczone, jak wziął to i wyrwał. Blizna jest. Jeden z nich był bardzo zły, taki wysoki ze 2 metry, krogulczy nos. Nasi go zabili, ci co tam byli do końca. Pomścili się.

Wincenty Jacznik (s. 67)

Źródło: *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich* (wybór I opr. B. Kozieło-Poklewski, B. Łukaszewicz, wstęp: B. Kozieło-Poklewski, Olsztyn 1977)

Rozstrzelany w 1944 r. Józef Trzaska (fot. z ok. 1942)

MYŚLAŁEM, ŻE NIE PRZEŻYJĘ TEGO

(...) zaprowadzono nas do baraku, przydzielono po jednej blaszanej misce i kubku blaszanym, łyżkę, dwa wytarte koce. Na drewnianych, piętrowych łóżkach leżały papierowe sienniki i podgłówki wypchane drobnymi wiórami. Prześcieradeł ani powłok na koce i podgłówek nie było.

(...) Na obiad tego dnia było po kilka ziemniaków w mundurkach i kapusta. Kapusta była bez odrobiny mięsa lub kości, kwaśna i słona nie do opisania. Ziemniaki też bez jakiegokolwiek tłuszczu. Nadawało się to raczej dla świń niż dla ludzi.

Zygmunt Chełstowski (s. 38)

Pożywienie było takie: brukiew, brukiew i brukiew.

Mieczysław Jasionowicz (s. 69)

Każdego dnia musieliśmy wyrzucić 8 m rowu strzeleckiego, 60 cm szeroko i 1,70 m głęboko. Trudne to było wyrzucenie. Tereny były bardzo twarde, glina i kamień. Okropnie bito tych, którzy nie wykonali swojej normy. (...)

Wyżywienie było tragiczne, karmili nas brukwią, kapustą, aż przeszli na marchew. Pamiętam, że podniesienie leżącej na ziemi marchwi wachman zastrzelił Rosjanina. Na marchwi zaś człowiek długo nie wytrzyma - ja dostałem czerwonej dyzenterii i już myślałem, że nie przeżyję tego.

Stanisław Gołosiński (s. 63)

Pracowaliśmy na otwartym powietrzu. Grudzień, styczeń, luty - po dziesięć godzin bez ciepłej odzieży. (...) Ażeby więc nie zamarznąć robiliśmy z worków papierowych po cemencie swego rodzaju „swetry", które zakładaliśmy pod kurtki. Tym samym papierem z worków po cemencie zawijaliśmy buty. Wszystkie te zabiegi niewiele pomogły i w styczniu 1944 roku wielu z nas doznało odmrożeń, szczególnie rąk i nóg. Mnie to też spotkało. Kiedy odmroziłem nogi i powstały rany, udałem się do lekarza na lotnisku. Ten przyjął mnie, nogi, poza ranami, wysmarował jodyną i kazał iść do roboty. Kiedy upomniałem się o zwolnienie, krzyknął że ich żołnierze też mają odmrożone nogi i muszą walczyć z komunistami.

Zygmunt Chełstowski (s. 40)

Nie pamiętam, kiedy nas zabrali do pracy na lotnisko do Gierdaw. (...) Najpierw przywitały nas psy, rwały ciało. (...) Z tego lotniska, jak Sowieci Wystruć zabrali, ewakuowano nas. Nie mieliśmy tam żadnych warunków, mieszkaliśmy w takich namiotkach i prycze bez niczego. Rano wstawaliśmy na plac. Jak wychodziliśmy to pałami bili, wypędzali jak bydło. Na tym lotnisku podwieszaliśmy pod samoloty bomby. To nas 18-20 do jednej bomby, takie 500 kg. Jak Wystruć zaczęła się palić, przyjechał do nas generał - po polsku mówił:
- Wy wiecie, tera jesteśta naszymi kameradami, naszymi braciami i powinniśmy wszyscy walczyć, bo wróg już jest na Bałtyku. Równe bracia jesteśmy.
Po przyjeździe generała wyfasowali nam jeden koc i bochenek chleba na osobę. Jak kto złapał ten chleb, to zaraz zębami łapie cały chleb. Ja tak samo złapałem ten chleb zębami, kolega wyrwał mi z ręki.

Bolesław Lenkiewicz (s. 89)

O piątej rano pobudka. Dostajemy po sto gramów chleba. To ma wystarczyć na śniadanie i kolację. Po apelu strażnicy prowadzą nas do zajęć. Ze zgliszcz wyciągamy zabitych bombami. Ta robota nie była zła, bo szukając zabitych nieraz po kryjomu znalazło się jakiś weck z mięsem lub konfiturami. W oka mgnieniu zjadaliśmy. Uważaliśmy, aby tego strażnik nie zauważył. Gdyby nas na tym złapał - niechybna śmierć.

Janusz Bieniewski (s. 26)

Ciągle pracujemy przy usuwaniu skutków bombardowań. Tego dnia nasza grupa pracuje przy rozbieraniu sterczących kominów, które ocalały z bombardowań. Praca jest bardzo niebezpieczna. Przystawiamy drabiny do chwiejących się kominów. Wspinamy się na nie. W głowie się kręci od wysokości. Rozbieramy cegłę. Opodal komin się przewraca. Widzę tuman kurzu. Biegniemy tam. Trzech naszych kolegów zasypało. W pośpiechu odrzucamy gruzy. Byleby prędzej, byleby im pomóc. Dobywamy ich. Za późno. Są zmiażdżeni. Nie doczekali się wolności. Nikt się tym nie przejmuje. Być może jutro czeka nas to samo... Wypadki tego rodzaju powtarzają się niemalże codziennie. Na to nie ma żadnych środków zaradczych.

Janusz Bieniewski (s. 26)

Źródło: *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich* (wybór I opr. B. Kozieło-Poklewski, B. Łukaszewicz, wstęp: B. Kozieło-Poklewski, Olsztyn 1977)

Zygmunt Chełstowski - XI 1943,
zdj. z czasu budowy lotniska wojskowego pod Królewcem

Kopiemy okopy i budujemy bunkry obronne pod nadzorem strażników w żółtych ubraniach. Za byle co biją i strzelają do ludzi. W nocy śpimy na słomie w olbrzymiej stodole. Jest nas około tysiąca osób. Sami obcokrajowcy. W nocy zimno. Tulimy się jeden do drugiego. Ubrań mokrych nie ma gdzie suszyć. Schną na ciele. Jeden koc nie stanowi dostatecznego przykrycia. Rano apele. Zawsze kogoś brakuje. Nieraz po kilku. Ludzie umierają z głodu i przemęczenia. Na domiar złego opanowały nas wszy. Łażą po słomie całymi stadami. Na bieliźnie jest ich tysiące. Zdejmujemy z siebie bieliznę i wytrząsamy z niej insekty. Większość z nich spada na ziemię. Depczemy z obrzydzeniem. Najgorzej mają starsi wiekiem. W wąsach i brodach siedzą insekty, a co mówić o głowie. Mnie jeszcze wąsy i broda nie rosną, z tym mam spokój. Kolega obciął mi nożycami włosy na zero. Gdy z rana wstaję, rękami zgarniam wszy z głowy. Opadają, żadnych środków zaradczych nie ma. Ludzie chorują, lecz tu nikt nie leczy. Dokąd mogą, to pracują. Któregoś dnia nie stawiają się do apelu. Nikt o to troszczyć się nie będzie.

Kiedyś na naszych oczach padł koń. Kilkaset osób podbiegło do niego. Odczekaliśmy chwilę. Gdy przestał oddychać cięliśmy go na kawałki. Przypieczone, bez soli mięso zjadaliśmy łapczywie. Więcej takich okazji już nie było.

Czułem, że mój młody organizm już tego wszystkiego nie wytrzyma. A nie chciałem umierać.

Janusz Bieniewski (s. 26–27)

Kiedy mnie obudził i dostrzegłem, że ma dla mnie paczkę, wyrwałem mu ją z rąk, zerwałem opakowanie, ułamałem kawał chleba i zajadałem siedząc na łóżku. Ze szczęścia, że rano nie pójdę do pracy głodny płakałem. Potem już spokojnie wstałem z łóżka i zrobiłem sobie prawdziwą kolację. Po raz pierwszy, po przeszło trzytygodniowym głodzie najadłem się do syta.

Zygmunt Chełstowski (s. 40)

Tylko dzięki temu, że mnie Polacy ukryli i nie wykazywali przez pewien czas, uratowałem się.

Władysław Kaszuba (s. 76)

Nie mieliśmy przydziału do schronu, do którego moglibyśmy się skryć w trakcie nalotu, ale poradziliśmy sobie inaczej. W pobliżu baraku był plac składowy firmy „Biskie". Składowane były tam też (...) rury o dużej średnicy (...). Było w nich całkiem bezpieczne schronienie, z tą tylko niedogodnością, że podczas nalotu huk rozrywających się bomb potęgował się w rurach do tego stopnia, że w trakcie jednego nalotu, dwóch kolegów nie wytrzymało tego.

Zygmunt Chełstowski (s. 43)

Źródło: *Ze znakiem »P« Relacje i wspomnienia robotników przymusowych i jeńców wojennych w Prusach Wschodnich*
(wybór I opr. B. Kozieło-Poklewski, B. Łukaszewicz, wstęp: B. Kozieło-Poklewski, Olsztyn 1977)

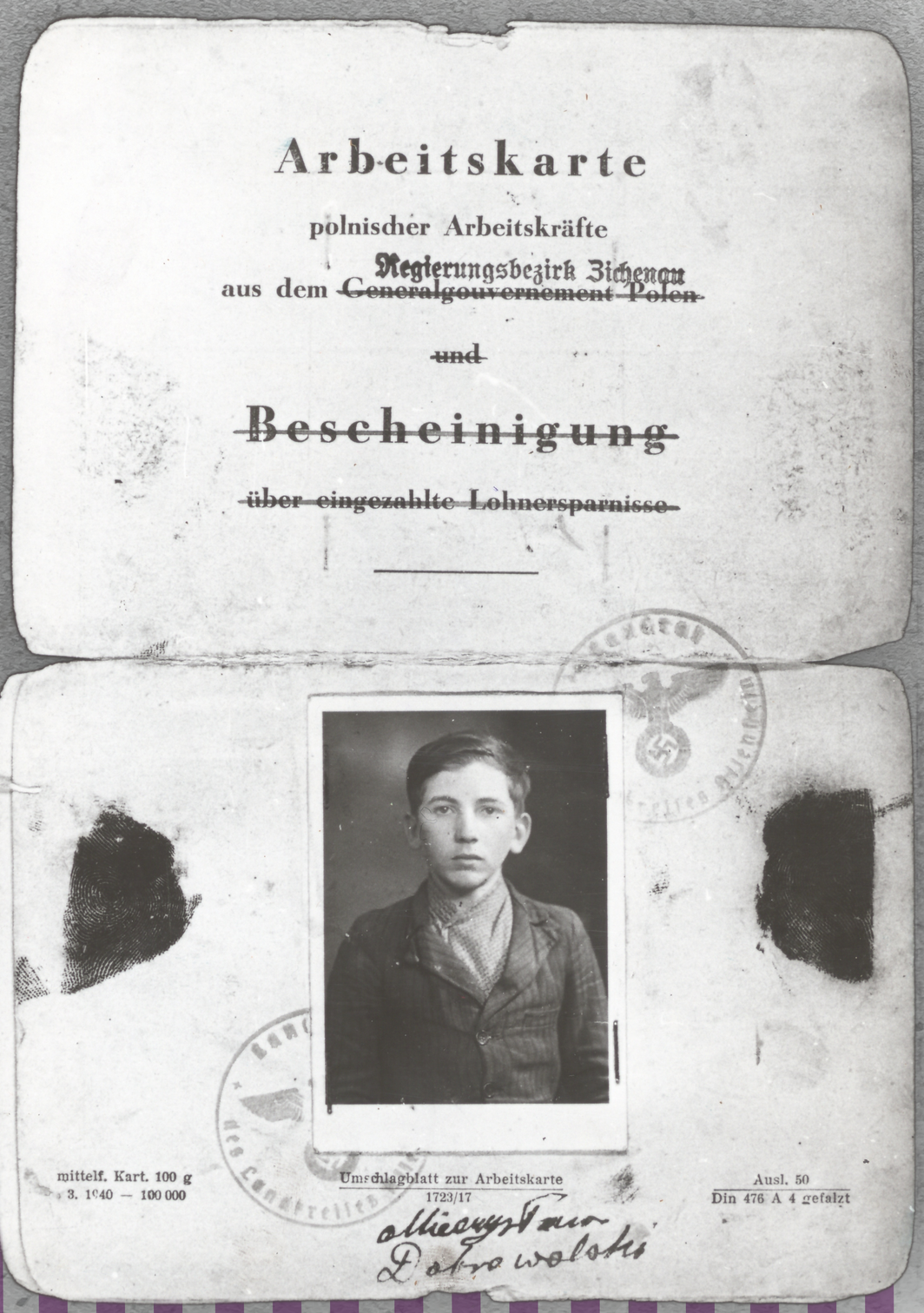
Arbeitskarte

polnischer Arbeitskräfte

aus dem ~~Generalgouvernement Polen~~ Regierungsbezirk Zichenau

~~und~~

~~Bescheinigung~~

~~über eingezahlte Lohnersparnisse~~

mittelf. Kart. 100 g
3. 1940 — 100 000

Umschlagblatt zur Arbeitskarte
1723/17

Ausl. 50
Din 476 A 4 gefalzt

Allenstein d. 20.5.1941
Für Hauptgespenal. Karte anfertigen.

Ausl. 54 A/0012 A. [illegible]

Arbeitskarte — Bescheinigung

Gültig bis auf weiteres! Widerruf vorbehalten!

Familienname: Dobrowolski
Vor(Ruf-)name: Mieczyslaw
Geburtsname bei Frauen: -
Geboren am 1.11.22 in Stupsk
männlich, [illegible] ledig, [illegible]
Staatsangehörigkeit: Schutzangehöriger
Volkszugehörigkeit: (Pole)
Herkunftsland (eingereist aus): eingegl.Ostgeb.
Heimatort: Stupsk
Kreis: Mielau
Wohnhaft: -
(bei Ausstellg. d. Befr.-Sch.)
Beschäftigt als: Landarbeiter
Arbeitsbuch-Nr.: A 1/2338
Arbeitsstelle: Bauer Eduard Wilkowski
Diwitten Krs. Allenstein

Trpt.-Nr.: Im Inl. seit 25.4.41

(Dienstsiegel) Ausgestellt am 8.5. 1944

Arbeitsamt
Allenstein

*) Dem ausländischen Arbeiter/Angestellten auszuhändigen!

MAZURSKI UNIWERSYTET LUDOWY

w Rudziskach Pasymskich rozpoczął działalność 5 XII 1945 roku. Jego wieloaspektowy program nauczania przeznaczony był przede wszystkim dla starszej mazurskiej młodzieży wiejskiej. Cel każdego z ośmiu kursów nauczania był dwojaki: z jednej strony należało tę zgermanizowaną młodzież włączyć w nurt polskiego życia społecznego, czego podstawą był oczywiście język oraz nauczanie historii regionu, lecz również zaadaptować tę społeczność do aktualnych warunków politycznych, łącząc w dyskursie – jak to się wówczas eufemistycznie określało – wątki „narodowe i społeczne". Trzeba pamiętać, że owa „repolonizacja" stanowiła dość poważne wyzwanie natury społecznej, a nawet psychologicznej. Jak wynika z opublikowanych przez Instytut Północny im. Wojciecha Kętrzyńskiego „Relacji słuchaczy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach Pasymskich" (wstęp i opr. K. Bączek, R. Tomkiewicz, Olsztyn 2021), mieliśmy do czynienia z pokoleniem, które nierzadko trzykrotnie modyfikowało czy wprost zmieniało swą przynależność oraz tożsamość kulturową, narodową i państwową. W domu rodzinnym mówili oni przede wszystkim w gwarze mazurskiej, potem zostali poddani radykalnej germanizacji zarówno w sensie językowym, jak i społeczno-politycznym, a następnie musieli się samookreślić w nowej rzeczywistości państwowej - polskiej, wypełnionej również konkretną treścią ideologiczną. Zebrane w 1949 roku relacje słuchaczy MUL świadczą nie tylko o dramatycznych, a nierzadko tragicznych losach tych osób i ich rodzin, ale również o psychospołecznym i tożsamościowym rozdarciu młodej społeczności mazurskiej. Karol Małłek, dyrektor placówki w Rudziskach Pasymskich, wspominał, że u progu I kursu MUL, spośród 134 słuchaczy, 39 z nich znało język polski w mowie oraz piśmie, 76 (czyli zdecydowana większość) – operowało wyłącznie gwarą mazurską, 8 – nie mówiło po polsku, ale rozumiało język polski, a 11 słuchaczy posługiwało się wyłącznie językiem niemieckim. Był to więc niekiedy problem natury fundamentalnej, który chciano rozwiązać możliwie szybko, obejmując tego rodzaju nauczaniem relatywnie szeroką grupę osób. W trakcie wspomnianych ośmiu kursów nauczania, w latach 1945-1950 Mazurski Uniwersytet Ludowy w Rudziskach Pasymskich ukończyło 310 osób.

O, ojczysta nasza mowo,
Coś kwitnęła nam przed laty,
Zakwitnijże nam na nowo,
Jako kwitną w lecie kwiaty.

MAZURSKI UNIWERSYTET LUDOWY

Z relacji zebranych wśród uczestników VII kursu MUL (1948-1949) wyłania się obraz pękniętej tożsamości młodego pokolenia Mazurów. Jednocześnie w 31 opublikowanych świadectwach możemy zaobserwować typowy dla wszystkich indagowanych proces adaptacyjny oraz powtarzający się schemat wspomnieniowy. Najpierw mamy niemal idylliczny obraz wczesnego dzieciństwa, kiedy to w rodzinnym domu mówi się "po mazursku". Polityka, przynależność państwowa – te kwestie pozostają w dalekim tle. Przełomem staje się rozpoczęcie nauki w niemieckiej państwowej szkole podstawowej, która najczęściej jest już szkołą hitlerowską z całym bagażem indoktrynacji politycznej, realizowanej również za pomocą licznych naznaczonych ideologicznie organizacji grupujących dziewczęta i chłopców. Dzieci mazurskie nierzadko przyjmują fanatyczny punkt widzenia, niekiedy wbrew własnym rodzicom, co również opisywane jest w relacjach. Stają się jednocześnie Niemcami i narodowymi socjalistami. Szok roku 1945 jest więc dla nich szokiem podwójnym – z jednej strony stanowi nierzadko tragedię osobistą i rodzinną, z drugiej - szok tożsamościowy. Upada przecież w mgnieniu oka obraz potężnego państwa niemieckiego, hegemona kulturowego, politycznego i ekonomicznego Europy. Upada propagandowy obraz, wtłaczany przez lata tej dorastającej młodzieży. Z kolei w roku 1946 muszą się ponownie opowiedzieć: jeśli chcą zostać na bliskiej im mazurskiej ziemi, muszą być Polakami. Polakami oficjalnie zweryfikowanymi i zadekretowanymi. Ten proces przebiega również nie bez komplikacji, niełatwo jest przecież po raz kolejny w ciągu kilkunastu lat – będąc Mazurem – opowiedzieć się za twardo określoną tożsamością nie tylko państwową, ale i kulturową. Świadectwo tych rozterek znajdujemy również w zebranych wśród słuchaczy MUL relacjach. W końcu młodzi ludzie trafiają na kurs Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego, gdzie zostają poddani przyspieszonej „repolonizacji" i gdzie - co zrozumiałe - brakuje przestrzeni do niuansowania dyskursu tożsamościowego. Młodzi Mazurzy mają być Polakami i stają się Polakami, choć wydaje się, że ich finalne deklaracje pracy dla Polski Ludowej brzmią najbardziej sztucznie z całego zebranego materiału relacyjnego.

Niewątpliwie - największą radość przynosi im łączność z ich małą ojczyzną: Mazurami. Świadczą o tym zarówno przytoczone fragmenty wspomnień z dzieciństwa, jak i niesamowita, niemal irracjonalna chęć powrotu w 1946 roku i kolejnych latach do rodzinnych wsi mazurskich, mimo że niejednokrotnie jest to powrót z Zachodniej Europy do regionu, który jest już w granicach Polski Ludowej – bytu państwowego o określonej treści ideologicznej, nierzadko programowo zacierającego różnorodności regionalne i kulturowe. Okazało się wówczas, że powrót na rodzinną ziemię jest najważniejszym pragnieniem, zadaniem i niemal obowiązkiem Mazurów. Na ile okazał się on trwały, to już temat na odrębną opowieść.

DZIECIŃSTWO

Moje dziecinne lata w stosunku do miejskiego dziecka (były) biedne. Nie miałam możności odwiedzić z rodzicami miasta, kina, a więc otwartego świata. Natomiast wśród zabaw dzieci wiejskich uczyłam się kochać dom rodzinny i tęsknić za nim. Zostały w mych myślach niewinne, miłe wspomnienia.

Elfryda (s. 52)

WYCHOWANIE W DUCHU NAZISTOWSKIM

Zawsze starałam się, aby zadania te wypełnić, bo panował we mnie duch niemiecki. Wywołany przez naukę w szkole i pokrzepiony przez idee faszystowską, którą uznawałam jako bezbłędną, bo ustrój ten dał bezrobotnym ludziom pracę, dał dzieciom zdolnym z rodziców ubogich wolne (darmowe) wykształcenie, pomagał wprost wszystkim, którzy potrzebowali pomocy.

Ela Małgorzata (s. 46)

Uczyłam się u czworga nauczycieli: (...) Boguszewski był wielkim wyznawcą NSDAP i uczył nas nienawidzić obcokrajowców. Ja, jako jeszcze bardzo młoda i nieuświadomiona, wierzyłam we wszystko, co mi mówiono.

Elżbieta (s. 56)

Źródło: *Relacje słuchaczy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach Pasymskich* (wstęp i opr. K. Bączek, R. Tomkiewicz, Olsztyn 2021)

GWARA MAZURSKA, JĘZYK POLSKI I JĘZYK NIEMIECKI

Mając już przeszło pięć lat, nie umiałam ani słowa po niemiecku, a to z powodu, że rodzice tylko po mazursku rozmawiali. (...) Z tego powodu oddali mnie rodzice do jednej ciotki, która mieszkała w Ostródzie. Tu tylko słyszałam mowę niemiecką i przez pierwszy czas nie chciałam w ogóle rozmawiać. Później jednak, gdy ciotka mi tłumaczyła, że trzeba się nauczyć po niemiecku, bo inaczej to każdy będzie mnie wyśmiewać i mnie Polką nazywać. Uwierzyłam jej i prędko ulubiłam tę mowę, także w przyszłości nie rozmawiałam dużo po polsku, bojąc się wyśmiewania przez drugie dzieci.

Ela Małgorzata (s. 45)

Jestem dzieckiem tak szczerym mazurskim, jak i moi rodzice byli i są, którzy się na tych ziemiach urodzili. (...) Dziadek i babcia posługiwali się językiem polskim, także i rodzice do niego przywykli, i choć chodzili już do szkół niemieckich, jednak chętnie rozmawiali po polsku.

Elfryda (s. 52)

W szkołach i domach został surowo zabroniony język polski. Już wtedy, mając 10 lat, pytałam się ojca: "Dlaczego ten lud rozmawia po polsku, a jest jednak niemieckim?". Ojciec mi tłumaczył, że jesteśmy ludem, który graniczy przy Polsce. Było mi to wszystko niejasne, nienawidziłam polskiego języka, choć go dobrze umiałam. Gdy dotarła do nas propaganda, że Polacy mordowali w Bromberg niemiecką cywilną ludność, burzyłam się strasznie, powstała we mnie nienawiść do ludu polskiego.

Elfryda (s. 53)

Kiedy miałam 12 lat, wybuchła wojna. Ja nie mogłam się z tym zgodzić, że wojna jest potrzebna. Teraz ostro zakazano mówić po polsku. A przecież nasi starzy ludzie mówili tylko po polsku. Polacy stali się naszymi najgorszymi wrogami.

Berta (s. 33)

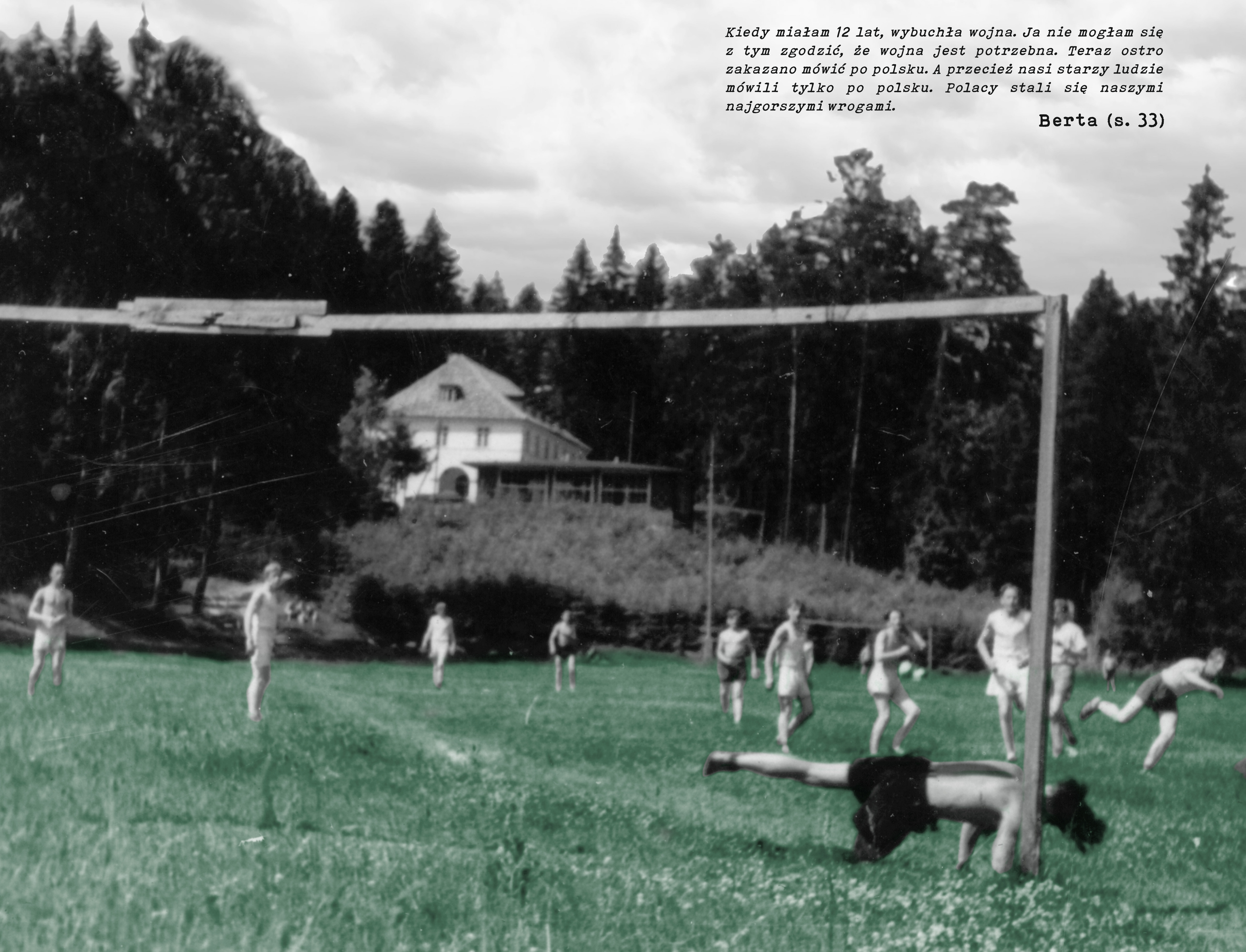

ROK 1945

Było to straszne wrażenie, jak zobaczyliśmy, że Armia Radziecka u nas jest. Tam na tym majątku zaraz pierwszych ludzi zamordowali, a to dlatego, że niewolnicy radzieccy mało chleba dostawali, którzy na majątku Doringen pracowali. Więc jak pierwszy patrol przyszedł, zaraz rendantkę i jej matkę, jak i inspektora majątku, zabił. Był to mój pierwszy obraz, jak się zabija ludzi.

Ela Eryka (s. 41–42)

Jak ja tylko na ulicy się pokazałam, zaraz dwaj żołnierze sowieccy przyszli do mnie i coś mówili, ale nie zrozumiałam, bo nigdy nie przypuszczałam, że coś podobnego mnie (spotka), co ja tylko dopiero 14 lat miałam, a zgwałcić chcieli. (...) Zaczęłam płakać, jak również moja mamusia, ale to nic nie pomogło, mnie ciągnęli za rękę. Broniłam się jak tylko mogłam, to jeden żołnierz z karabinem stał i chcieli mnie zastrzelić. Gdyby mi nie żal było mojej mamusi i moich trzech braci, chciałam lepiej swoje życie oddać niźli takiej bandy w ręce wpaść, więc moje błaganie nic mi nie pomogło, musiałam z nimi iść.

Ela Eryka (s. 42)

Było to wieczorem 3 lutego 1945 r. krótko przed Biskupcem. Wieczoru tego nigdy nie zapomnę. Zatrzymało nas dwóch żołnierzy radzieckich i kazali nam się udać do komendantury wiejskiej. Przed bramą zmuszono moją matkę, ojca i brata by zostali, tylko mnie samą wpuszczono. Ja miałam wrażenie, że idę na rzeź. Jednak tak nie było, ale to, co przyszło, było o wiele gorsze dla mnie, niżeli szybka śmierć. Zgwałcono (zmuszono) mnie poddać się trzem oficerom. Jak to się stało sama nie wiem, pamiętam tylko, że gdy przyszłam do zupełnej przytomności, matka moja koło mnie stała, aby mnie ze sobą zabrać. Ja byłam do tego stopnia zdenerwowana, że matkę nie chciałam posłuchać. Tłumaczyła oficerom, (że) gdy mi mój honor wzięli, tak prędzej dam się zastrzelić niżeli dalej (będę) z tą hańbą żyć. (...) Od tego dnia mój charakter się zmienił, z wesołej dziewczyny, którą ja dotychczas byłam, stałam się pochmurną. Najlepiej siedziałam gdzieś sama zadumana i pragnęłam, żeby się choć raz wypłakać. W domu było wszystko puste, inwentarz żywy był zniszczony, tak samo częściowo i meble. Wszędzie brudy i ślady przebywania niekulturalnego ludu.

Ela Małgorzata (s. 47–48)

Z tej górki przyglądałam się, co się robi na wiosce, widziałam, jak dziewczyna, córka kowala, 19-letnia, przez 13 Rosjan została zgwałcona i jeszcze na końcu rozerwana.
Było to okropne, czasami wolałabym nie istnieć na świecie.

Elżbieta (s. 57)

W Wielkanoc 1945 r. zabrali mnie Sowiety do obozu, przeszedłem cztery obozy. Byłem w Olsztynie, Dobrym Mieście, Bartoszycach i Welawie. W tych obozach było bardzo źle, bo do jedzenia było tyle, co i nic. Na śniadanie była zawsze zupa z otrębów i obiad tak jak przypadło i na kolację tak samo. Gdybym ja tam jeszcze dłużej został, to na pewno bym do domu nie wrócił. Tam bardzo dużo ludzi zmarło, dziennie po 20–30 osób. Jak jednego razu tylko pięcioro zmarło, to nasz sierżant rzekł: „To co, dziś tylko pięcioro Fryców zdechło? Trzeba im mniej żarcia dać, bo nawet już nie chcą zdychać".

Bernard (s. 30)

Na drugi dzień nas po kolei wywołano, każda dostała tylko dwa kilo chleba i odmaszerowałyśmy w kierunku Ciechanowa. Droga była 160 km długa, bo szliśmy na drogach bocznych z powodu, że szosy transporty wojskowe zajmowały. Na tej podróży poznałam dopiero, jaki brutalny może człowiek być. Oprócz tzw. konwojerów, którzy nas prowadzili, był specjalnie jeden komisarz na koniu. Poganiał on ludzi, którzy z kolumną nie zdążyli. Był to człowiek chyba bez serca i sumienia. Widziałam na przykład, jak jedna kobieta przez niego została pobita na śmierć. Dużo starszych kobiet i mężczyzn, którzy zostawali na tyle, zastrzelił bez litości.

Ela Małgorzata (s. 48–49)

Polski lud zagraniczny zaczął napadać domy mazurskie i je okradać. Zabrano nam wszystko co do ubrania i pościeli, i wyzywano nas od szwabów.

Elfryda (s. 54)

Jak tylko Rosjanie wyszli, to zaraz na drugi dzień wieczorem przyszła banda, która nam krowy, świnie i drób ukradła. W październiku 1945 r. pierwsze polskie wojsko do nas przybyło. Wtenczas już kradzież ustała. 15 listopada mamusia polskie obywatelstwo przyjęła.

Ela Eryka (s. 43)

Źródło: *Relacje słuchaczy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach Pasymskich*
(wstęp i opr. K. Bączek, R. Tomkiewicz, Olsztyn 2021)

ROZTERKI LUDU MAZURSKIEGO

(...) w styczniu 1947 r. pożegnałam się z życiem obozowym. Podczas podróży gnębiły mnie jednak zwątpienia. Jechałam do domu, lecz rządziło tam państwo, o którym myślałam, że jest w stosunku do mnie, znaczy do Niemki, nie tylko obce, ale i wrogie.

Ela Małgorzata (s. 50)

Lecz gdy pytano, kto jest nie niemieckiego pochodzenia, ja nie byłam zdolna mówić, że jestem Mazurką, jestem Polką. Chociaż mówiłam gwarą mazurską, czułam się Niemką całkowicie i to było źródłem cierpienia dla mnie.

Ela Małgorzata (s. 50)

We wrześniu wrócił ojciec z Niemiec. Jechał on przez Danię do Saksonii, aby nas odnaleźć. Tam dowiedział się, że my już jesteśmy w Prusach i przyjechał zaraz za nami. (...) Zaraz przyjęliśmy obywatelstwo polskie, w październiku 1945 roku. Cała rodzina była zdecydowana zostać. Ojciec zupełnie sobie zdawał sprawę, że jest to prawdziwa droga, że my jesteśmy Polakami. Mnie ta myśl jeszcze bolała. Przecież byłam przez szkołę wychowana w duchu niemieckim. Prócz tych mąk wewnętrznych dochodziło, że nawet języka polskiego nie znałam. Że jestem Polką przekonali mnie dopiero sami Mazurzy wyjeżdżając do Niemiec, ludzie, o których pamiętam, że oni nawet po niemiecku dobrze mówić nie umieli. Postanowiłam sobie tu nową prawdziwą ojczyznę odnaleźć i zbudować. Doznałam często klęsk, bo byłam duchowo jeszcze za słaba i nie mogłam od razu wyrwać z serca co dla mnie było dotychczasową prawdą. Długo i twardo walczyłam sama ze sobą.

Berta (s. 37)

Od tego dnia starałam się, aby obowiązki jako Polka wypełniać. Lecz było mi to nieraz ciężko, przeszło 20 lat czułam się Niemką, bo byłam w szkole i w związkach młodzieży tak wychowana. Każde słowo, które mówiło o Niemcach źle, raziło mnie i musiałam bardzo nad sobą panować, aby tego nie pokazać. Z powodu braku uświadomienia nie wiedziałam dokładnie, kim ja w ogóle jestem.

Ela Małgorzata (s. 51)

Gdy ojciec wrócił zweryfikowany do domu, aby móc pracować na swojej ziemi i w swojej ojczyźnie, powtórnie określił nam przykry stosunek Niemców do Mazurów. Traktowano ich jak Polaków, więc ich nienawidzono. Akurat teraz czułam się gotową, by cierpieć na własnej ziemi wśród ludu polskiego, niźli być wyzywaną i nienawidzoną za Odrą wśród ludu niemieckiego.

Elfryda (s. 54-55)

I chociaż już miałam obywatelstwo, to nigdy nie mówiłam, że jestem Polką, tylko zawsze Mazurką.

Elżbieta (s. 58)

Źródło: *Relacje słuchaczy Mazurskiego Uniwersytetu Ludowego w Rudziskach Pasymskich*
(wstęp i opr. K. Bączek, R. Tomkiewicz, Olsztyn 2021)

OLSZTYŃSKIE ZAKŁADY OPON SAMOCHODOWYCH

Materiały pamiętnikarskie związane z budową oraz funkcjonowaniem Olsztyńskich Zakładów Opon Samochodowych pochodzą z 1976 roku. Są pokłosiem rozpisanego wówczas przez Zarząd Wojewódzki Związku Socjalistycznej Młodzieży Polskiej w Olsztynie Konkursu.

Jakiego typu narracje zawierają owe pamiętniki? Znajdziemy tu pisane w oficjalnym tonie relacje głównych aktorów tego procesu: dyrektora naczelnego OZOS Władysława Leonharda, głównego projektanta fabryki Jana Bagniewskiego, kierowników działów produkcyjnych. Ale mamy tu również wspomnienia pracowników średniego szczebla technicznego i robotników. Nierzadko w tle opowieści o trudnej adaptacji często niewykwalifikowanych pracowników do warunków pracy w świeżo powstającym zakładzie, pojawiają się opisy dojmujących warunków życia w Polsce drugiej połowy lat 60. XX wieku. Poprzedzone są niekiedy również opowieściami o trudnym, biednym dzieciństwie, spędzonym w peryferyjnych regionach kraju, czy tragicznymi wspomnieniami sięgającymi czasów II wojny światowej oraz pierwszych lat powojennych. Wśród materiałów – co warto podkreślić – znajdziemy zarówno relacje mężczyzn, jak i kobiet, które stanowiły niemałą część załogi olsztyńskiej fabryki opon.

Jest to tym samym opowieść o dziejach spóźnionego awansu społecznego w tej części kraju, o niemal dosłownym „wyrwaniu się" z rodzinnych miejscowości. W jednym ze wspomnień takie miejsce pochodzenia wprost nazwane jest „przeklętym miastem". To także opowieść o mozolnej adaptacji do nowych warunków pracy i życia społecznego, o problemach rodzinnych, o cenach i płacach, o brakach i niewygodach, o kpinach ze strony współpracowników i kompleksach, o znajdowaniu przysłowiowego własnego miejsca w niegościnnej rzeczywistości rodzącego się wielkiego przemysłu w mieście „w budowie". Narracje te składają się również na portret zmieniającego się Olsztyna.

Ale to też opowieść o „wygranej". Na końcu drogi marzenie o społecznym awansie spełnia się: pojawiają się spółdzielcze mieszkania, możliwość uzupełnienia braków w wykształceniu, wycieczki, wczasy, wreszcie awanse, związane ze zmianą stanowiska pracy na lepsze, a nawet wyjazdy zagraniczne. Większość bohaterów decyduje się związać na stałe losy swoje i swojej rodziny z fabryką i miastem, które już w 1973 roku osiąga liczbę 100 tysięcy mieszkańców. Ta liczba stanowi sumę tych wszystkich jednostkowych decyzji ludzkich podejmowanych w czasie tworzenia się olsztyńskich Zakładów.

Fot. Archiwum Michelin Polska

TRUDNE POCZĄTKI

I zaraz w dalszą drogę, ulicą Zwycięstwa, za miasto. – Więc nie w Olsztynie ten OZOS ? – myśleliśmy. Tak, wtedy nie był on jeszcze w Olsztynie, lecz spory kawałek za miastem, w polu.
To był rzeczywiście początek. Zwały gliny, a w niej jak żółwie, spychacze. Za spychaczami – stada gawronów. Przypominało to jakąś gigantyczną krainę z innej planety, z planety olbrzymów.
Przy szosie prowadzącej do Giław wytyczono niewielki prostokąt i kazano nam wzdłuż jego boków kopać stosunkowo niegłęboki rowek. – Tu będzie biuro – powiedział ktoś.
Nie zdziwiło to nas wtedy zbytnio... Prostokąt jak prostokąt, biuro jak biuro. O skali OZOS-u myśleliśmy wówczas w naszych codziennych wymiarach. „Biuro" było większe od wielu przez nas znanych, a więc „pasowało" do naszych wyobrażeń o tym zakładzie. Dopiero, kiedy skończyliśmy pracę i znów przyszedł jakiś pan, by ją ocenić fachowym okiem, dowiedzieliśmy się, że chodziło zaledwie o biuro budowy.

– Biurowiec powstanie o tam, w głębi – powiedział. – A za nim hala kordów, dętek i...

I zaczął opowiadać, jakby to wszystko już stało, jakby już dobiegał stamtąd szum i rytm pracy. Słuchaliśmy z podziwem, choć przyznam, że niewielu z nas mogło sobie to wszystko wyobrazić.

Władysław Gruszczyk

Wyglądaliśmy tam niczym pająki na położonych wysoko pajęczynach konstrukcji. Jeden z fachowców niemieckiej firmy, montującej urządzenia na konfekcji, obserwując naszą pracę, powiedział: „Nasi rzemieślnicy bez podnośnika z wysięgnikiem, nigdy by tego nie wykonali". / Oczywiście w tym okresie o wyjechaniu z takim podnośnikiem nie mogło być mowy ze względu na brak przejazdu /. Wszystkie te niedobory uzupełnialiśmy własną pomysłowością, każda dobra myśl była dokładnie rozważona. Zaoszczędziliśmy przez to wiele pracy własnej i kolegów, których zadaniem było podnoszenie pod dach konstrukcji, ważących po kilkaset kilogramów. Do dyspozycji natomiast mieliśmy metody, jakich używano do budowy piramid lub co najwyżej Bazyliki św. Pawła. Lin z blokami zawiesić nie było gdzie, ponieważ belki musiały iść ponad bloki. Pomimo braku doświadczenia w takich robotach stanowiliśmy coraz bardziej zwarty zespół i coraz lepiej dawaliśmy sobie radę. Zbliżaliśmy się właśnie do zakończenia pierwszego przenośnika. [...] Nadeszła, wreszcie, decydująca dla nas chwila – rozruch i próba techniczna.

Pracowaliśmy wówczas całą dobę bez przerwy, i po wytężonej pracy, wreszcie, zakończyliśmy. Przenośnik wyglądał jak wielki stalowy wąż, zawieszony między monumentalnymi kształtami pras olbrzymów.

Waldemar Reszniak

Zaczyna brakować godzin. Okazało się że nie jesteśmy za dobrze przygotowani do ciągłej produkcji. Każda maszyna z osobna – doskonała.

Ale to wszystko połączone w agregaty, w linie zaczyna szwankować. Widać niedociągnięcia projektowe. Nie wszystkie zawody potraktowano jednakowo poważnie w czasie szkolenia. Źle pracują będące przedmiotem zachwytu krajarki kordu. A może źle pracują obsługujące je młode dziewczyny?

Jak już nie można inaczej, to za pulpitem staje elektryk – doświadczony, znający doskonale maszynę z montażu. Ale na niewiele to się zdaje – za chwilę potrzebny jest przy usuwaniu awarii drugiej maszyny. Po krótkim czasie ta piękna elektronika staje się wielką stertą idiotycznie polutowanych drucików, układów itp. Te ręcznie sterowane, powolne maszyny z Dębicy wydają się być jednak lepsze, wydają się jednym zbawieniem.

Pracuję od rana do wieczora. Widzę coraz większy chaos. Po co kręcą się tutaj ci doradcy z Poznania, Dębicy. Znowu dziewczyna nakroiła kordu wiskozowego zamiast poliamidu. Zdenerwowana tłumaczy, że „pan z Poznania" mówił, że to właściwy kord. Pan z Poznania nie umie więc właściwie rozpoznać kordów! Marna to jednak pociecha.

Wojciech Sobina

Boli mnie głowa – nerwy, jeszcze raz nerwy. Chyba jestem za młody. Najgorsze jest to, że nie widzę nadziei na rozwiązanie tego wszystkiego, na zapewnienie rytmicznej, planowej pracy. I coraz bardziej nienawidzę tych wszystkich pięknych, kolorowych rzeczy. Dostaję zawrotów głowy, jak słyszę na ulicy szum podobny do dźwięku jednej z tych maszyn. Olbrzymi napis na ścianie magazynu: „Tworzymy wielki przemysł na Warmii i Mazurach" denerwuje coraz bardziej.

Wojciech Sobina

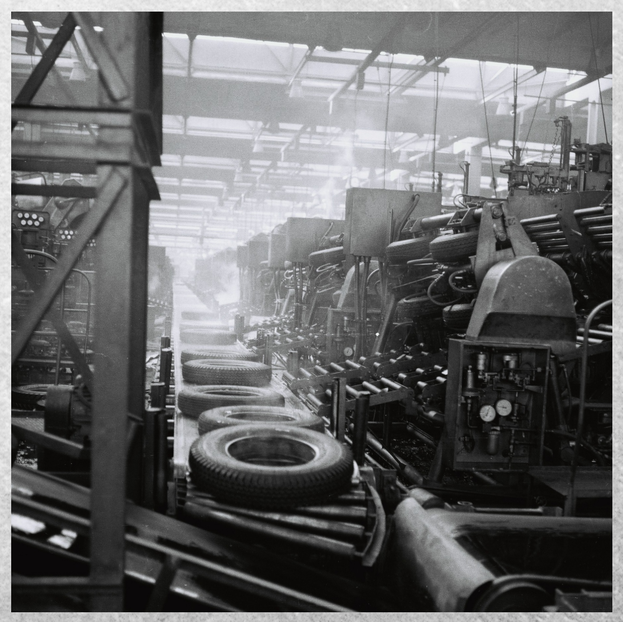

Fot. Archiwum Michelin Polska

Materiał wspomnieniowy ze zbiorów Archiwum Państwowego w Olsztynie (sygn. 1220/291)

CZŁOWIEK W PRACY

Z przepustką w ręku przekroczyłem bramę, (...). W hali zostałem ogłuszony warkotem przedziwnych maszyn i urządzeń. Mimo to ciekawość moja rosła mieszając się z niepokojem. Kierownik wydziału zmierzył mnie od stóp do głów i lakonicznie powiedział: „Znajdzie się coś"... Po złożeniu potrzebnych dokumentów otrzymałem kombinezon, beret, przydzielono mi szafkę na ubranie. I tak zacząłem swoją kolejną pracę, tym razem w zakładzie przemysłowym z prawdziwego zdarzenia. (...) W tym czasie zostałem przydzielony starszemu koledze, który konfekcjonował opony osobowe, miałem zasilać maszyny konfekcyjne. Praca ta wymagała ciągłego noszenia wałków z pociętym kordem i zasilaniu dwóch maszyn. Nie było mi lekko. Rozglądałem się za inną pracą. (...) Po rozmowie z mistrzem, że chciałbym pracować na walcarce, czy nie da się tego jakoś załatwić. Wyśmiał mnie mówiąc, o czym ty mały marzysz, wiesz przecież, że nie dasz rady, a się pchasz. Byłem zły – dalej nosiłem wałki z pociętym kordem. Nie raz widziałem jak konfekcjonerzy podśmiewali się ze mnie. E – mały, ale ty silny, ale żaden nie podszedł, żeby pomóc zarzucić wałek na ramię. Po kilkumiesięcznej pracy miałem już wszystkiego dość, dość noszenia wałków z pociętym kordem – dość rozmów z mistrzami o ewentualne przeniesienie mnie na inne stanowisko.

Któregoś dnia pracy przyszedł do mnie mistrz i mówi – mały od jutra pracujesz na drutówce. (...) Nie miałem tu nic do gadania, albo musiałem przyjąć pracę na drutówce, albo...
(...) Praca trzyzmianowa nie należy do łatwych, (...). Nie wypełniała też moich ambicji, była nudna, monotonna, a i zarobki nie były wcale takie kokosowe, około 1600 zł. miesięcznie. Następne tygodnie zapowiadały się lepiej, zarysowały się wyższe zarobki. By jednak wykonać tysiąc drutówek trzeba było dać z siebie dużo wysiłku. Wkrótce też zauważyłem na rękach pęcherze, ból coraz częściej dawał znać o sobie.

Waldemar Szymański

PRACA, NAUKA, PŁACA

Pracowałem przy kotłach na trzy zmiany zostając czasami na 16 godzin gdy nie przyszedł zmiennik. Wynająłem sobie w Olsztynie mieszkanie, w którym ulokowałem rodzinę i trochę gratów jakich się dorobiłem przez kilka lat pracy. Płacę za nie 2 tys. zł. miesięcznie, co stanowi 80% moich zarobków. Dobrze, że żona pracuje to mamy i coś na życie. Początkowo myślałem, że pomoże mi zakład, ale gdy dowiedziałem się, że kandydatów na mieszkanie jest dużo, a co roku ta liczba wzrastała, straciłem w końcu nadzieję. Jestem członkiem spółdzielni mieszkaniowej i mam nadzieję, że za dziesięć lat jak syn mój akurat wróci z wojska nadejdzie moja kolejka, ale wtedy jemu będzie potrzebne.

Wiesław Kaperzyński

Żeby lepiej ukazać problemy ucznia, szkoły przyzakładowej, a zarazem pracownika OZOS dokonam krótkiej fotografii dnia. Na przykład na III zmianie. Przyszło się z pracy o 6.40 zjadło śniadanie i szło się spać by wstać o 12.00 – 13.00, bo godz. 15.40 trzeba być w szkole / zatem czasu na wypoczynek i naukę nie wiele /. Na II zm. z pracy wracało się o 22.30 i do godz. 1.30 przeważnie się uczyło, bo na 7.15 trzeba być w szkole. Lekcje kończyły się o 11.50 o 13.00 szło się na obiad by o 14.00 być w pracy i wreszcie zmiana I o godz. 6.00 do pracy o 14.10 na obiad do stołówki o 14.50 było się w domu jeśli ktoś miał blisko na dojazd do szkoły i naukę zostało 50 min. Lekcje kończyły się przeważnie o 19.45. Ale po powrocie było się zbyt zmęczonym by móc się uczyć i szło się spać, (...)

Bogdan Wojtkowski

SUKCESY

Nie wiem czy potrafię opowiedzieć to co przeżywałem przed wyjazdem i w trakcie pobytu w Belgii. Nigdy nie myślałem, że będzie mi dane kiedykolwiek ruszyć się gdzieś za granicę własnego kraju, a już w żadnym wypadku, że będę leciał samolotem o czym marzyłem będąc dzieckiem. A jednak dzięki pracy w OZOS moje młodzieńcze marzenia spełniły się.

Bogdan Wojtkowski

Ukazało się potem moje zdjęcie w gazecie zakładowej „Kormoran". Gazetę tę przyniosłem do domu i pokazałem mamie. Płakała z radości.

Waldemar Szymański

I choć wtedy otrzymałem propozycję, przeniesienia do kontroli technicznej, pozostałem na starym miejscu. Zżyłem się z maszyną.

Waldemar Szymański

Materiał wspomnieniowy ze zbiorów Archiwum Państwowego w Olsztynie (sygn. 1220/291)

Fot. Archiwum Michelin Polska

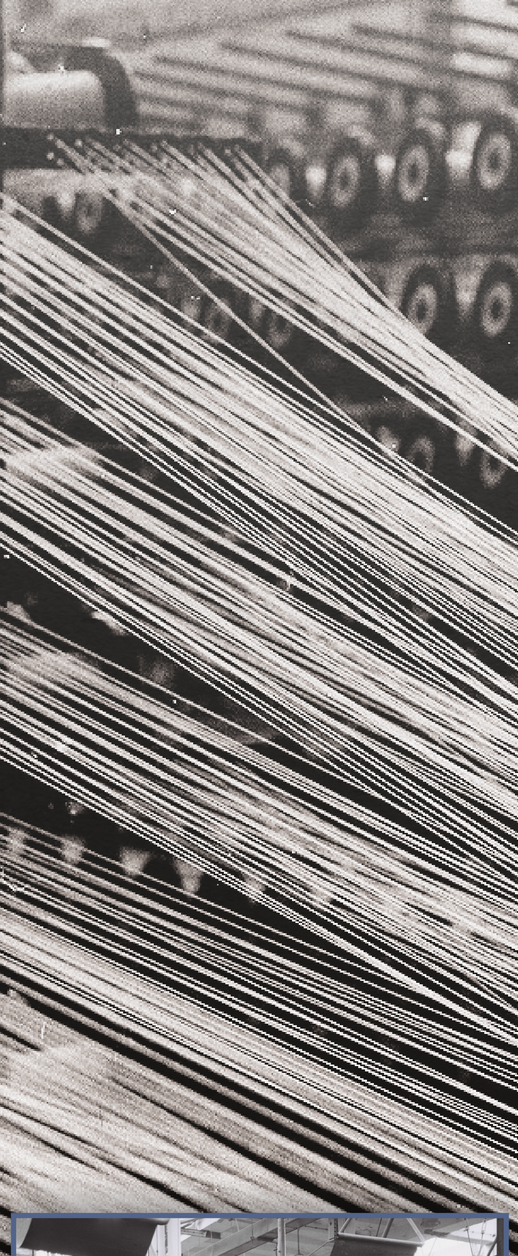

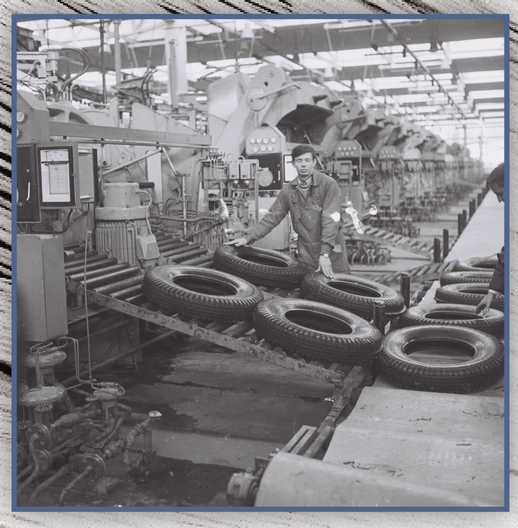

NOWY OLSZTYN

Przeczytałem w prasie wzmiankę o rozbudowywanym, nowoczesnym zakładzie pracy, fabryce opon w Olsztynie. Może intuicja, a może pamięć osieroconego, cichego miasteczka o poważnym czole tafli jeziora spowodowały, że postanowiłem tu przyjechać i spróbować szczęścia po raz któryś tam z kolei.
Pociąg z rrr...wjeżdża na peeerrr... - ochrypłe dźwięki płynące z głośników przywitały mnie uroczyście na peronie olsztyńskiego dworca. Wyszedłem z pociągu porwany tłumem ludzi i poprzez tunel znalazłem się przed dworcem. Stałem oszołomiony. Nic nie przypominało Olsztyna tamtego z zakamarków pamięci. Rzędy taksówek osobowych i bagażowych, obok nowoczesny dworzec autobusowy, przed kinem „Dworcowym" grono młodzieży nie różniącej się od warszawskiej.
Zagubione pośród mazurskich jezior, gdzie na mapie roztrzęsionej Europy z 1945 r. miasteczko, stało przede mną żywe, pulsujące energią, młodością, świeżością i jakąś wewnętrzną siłą.
Może nie dla każdego będzie to zrozumiałe, ale pokochałem to miasto właśnie od tej chwili kiedy idąc ulicą Partyzantów obok ronda przy moście kolejowym spojrzałem na śmiejące się okna domów i widniejący gdzie poza ul. Kętrzyńskiego komin ozosowski. Zrozumiałem, że jest w tym mieście coś co kazało człowiekowi znającemu drogę do gwiazd bronić tego miasta przed najeźdźcą, a innym patriotom umierać za jego polskość.

Nie o mieście miałem jednak pisać, a o OZOS-e, chociaż dla mnie jest to jednoznaczne i obie te nazwy mają w moim sercu wspólne miejsce. OZOS to dziecię Olsztyna, którego zadaniem jest swoim istnieniem i sławą nie tylko rozsławiać dobre imię ojca, a zadośćuczynić za krzywdy i trudy jakie ponieśli ojcowie aby zachować dzieciom możliwość startu.

Wiesław Kaperzyński

Do Olsztyna przyjechałem późnym wieczorem 17 lipca 1968r. Do rana przesiedziałem na dworcu kolejowym, który różnił się bardzo od dworca obecnego, a jego wnętrze nie budziły sympatii podróżnych. Duża ciemna poczekalnia i mnóstwo pijanych młodzieńców budziły nieufność młodego człowieka mającego przy sobie ok. 500 zł. w gotówce, (...).

Bogdan Wojtkowski

W pokoju po nich zamieszkały absolwentki po studiach chemii. Od nich dowiedziałam się, że Olsztyn to duża wieś, narzekały na beznadziejne zaopatrzenie w sklepach, brakowało im rozrywek, jakie miały w miastach, gdzie studiowały. Na rozbudowującym się osiedlu „Pojezierze" sklepu wówczas faktycznie nie było. Dwa małe spożywcze i jeden mięsny to stanowczo za mało na kilka tysięcy mieszkańców. Godzinami nieraz trzeba było stać w kolejkach.

Stefania Reszniak

(...) słyszałam jak szeptano, a odważniejsi mówili głośno: „poprzyjeżdżali z całej Polski i przez ten OZOS zabierają nam mieszkania, a my musimy przez nich dłużej czekać, na mieszkanie ze Spółdzielni". (...) Nic dziwnego, że w takiej sytuacji zrozumienie i wspólny język znajdywałam wśród takich jak ja przyjezdnych do Olsztyna.

Stefania Reszniak

Uważam, iż dzięki fabryce życie miasta uległo zmianie. Nie można go obecnie przyrównywać, jak to kiedyś czyniły moje sąsiadki, do życia zapadłej wsi czy mieściny. Z przyjemnością oglądam rozrastające się osiedle i miasto, które z każdym rokiem staje mi się coraz bliższe.

Stefania Reszniak

Materiał wspomnieniowy ze zbiorów Archiwum Państwowego w Olsztynie (sygn. 1220/291)

Fot. Archiwum Michelin Polska